

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1847.

Poznań, dnia 12. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydane jest rycina mąd paryżkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Konik zwierzyniecki.

POWIEŚĆ I OBRAZ

przez *Sierpińskiego*.

ROK 1560.

I

Na ulicach Krakowa cicho, jakby mieszkańcy go opuścili; pozamykane sklepy, pozamykane domy. Czasem tylko pośpiesza, trzęsąc się, ku rynkowi starszka, pacierze szepce i palcami koronkę przebiega — albo poskoczy chłopak i biegnie, jakby jednym skokiem chciał nagrodzić opóźnienie — lub bursak sunie w podartych bótach, wytartej sukmanie posuwistym krokiem; wszyscy biegną ku rynkowi. Po nich na ulicy zupełna cisza.

A w rynku ludzi niby kłosów na niwie; głowy ich jako kłosa gdy je wiatr pogłaszcze, schylają się i podnoszą; — tłum cały niby woda na jeziorze fałduje się, strumieni i jednym głosem śpiewa: Ciebie Boże chwalemy. — A ten głos jeden, z piersi tak wielu wypędzony jednem czuciem wiary, wzbijał się ku niebu wysoko, bo z serca kochającego, z duszy wierzącej. — Prócz tego głosu ludzi, był jeszcze głos dzwonów, które swym jękiem wstrząsały powietrze, i głos moździerzy, które coraz na Celestacie donośnym strzałem się odzywały. Ale ten głos nie szedł do nieba, jeno pełzał po ziemi i ogłaszał światu, że dziś w Krakowie obchodzono święto Bożego Ciała.

Na czterech rogach rynku, cztery ołtarze: jako cztery filary wiary, cztery strony świata; w środku kościół, jako sam zawierający Pana — naokoło ka-

mienice ściśnięte, jako ludzie przed władzą — ich okna pozamykane, niby oczy ludzi przed majestatem.

A wszystko składa swój hołd Bogu: — miasto odgłosem dzwonu, rykiem moździerza, ludźmi i swém milczeniem; człowiek modlitwą i myślą; ptak i zwierzę niespokojnością; a cała natura dźwiękiem harmonii.

A w rynku krakowskim kościół Panny Maryi, jako znak ręki wszechmocnej — wieża jako palec co ku niebu wskazuje — krzyż na wierzchu to wiara. Kościół wysoki, dziwnie wygięty w sklepienie, poprzecinany krzyżami — smętny, cichy i spokojny, jak cicha wiara, której obrazem; — sześć filarów głowami swemi podpierają jego sklepienie, niby sześciu mędrców nauki niebieskiej, a na bokach dziesięć kaplic, niby tajemnice wiary — a wszędzie ołtarzy wiele, a najznacniejszy jeden, w nim Jezus na krzyżu. Do tego ołtarza ciśnie się lud, bo kto się tam modli, wraca z nadzieją w sercu. A jeden krzyż taki jest u Panny Maryi w kościele dla ludu, a drugi w zamku dla króla — obaj przed jednemi wizerunkami się korzą, bo o jedną rzecz proszą.

W kościele rozlegają się organy, fletniste ich tony rozlegają się pod sklepieniem; lud zgodnie z nimi śpiewa; panowie i księża do stóp ołtarza, złotą okrytego blachą, się cisną. Ksiądz Osiecki ostatnie błogosławieństwo czyni, lud krzyżem zegna, myślą i słowy do nieba się wznosi i prosi szczerze, bo duże łzy padły na poczesną i zoraną twarz jego; — a to błogosławieństwo, te łzy, niby iskra piorunu przeszły lud, i wszyscy wspomnieli jak Józefat płakał w Jerozolimie — i korzyli się i modlili. — Głos ich rozlegał się jak daleki grzmot pod sklepieniem, a z nie-

mi śpiewali ci co za kościołem — a głos ich głucho się odbijał o mury i szedł w niebo. Aż wylawszy uczucie swe w modlitwie, z sercem napełnioném błogością, odszedł biskup od ołtarza, za nim księża i pany weszli do zakrystyi. Lud wyszedł z kościoła, połączył się z tymi, co za kościołem stali i jak woda rozlał się po rynku.

A część ich największa hucznie i tłumnie biegła koło małego kościółka Śgo Wojciecha; szumno i hałaśnie poprzędzali ją chłopaki podrzucając czapki w górę, podskakując na jednej nodze i wołając: Konik! Konik! Za niemi pan rajca Kleczkowski, cechmistrz włóczków, w czarnej czamarze, w czapce z bobrem, z dużą laską ze srebrem, szedł i prostował się, rękę zatykał za poję czamary, podpinał srebrne haftki i marszczył brwi — bo mu krzyki chłopaków nie na rękę; — a za nim chorągiew karmazynowa z białym orłem, otoczona czterema proporczykami. Koło niej majstrowie, wszyscy w kapotach czarnych, wszyscy bogato, strojnie; — a za cechem włóczków toczy się gromada pstra innego mieszczaństwa, co poodprowadzawszy cechy, leci zabawić się konikiem. Wszystko poważnie prowadzi się z żonami — a te w kapikach i kryzach kryją brody, mantylką się przykrywają, sromają się niby i wstydzą iść w takim motłochu, bo tak widziały, że panie zamkowe robiły; — coraz to spojrzą i błysną okiem z pod kwefiku, tak jak to robią, kiedy stoją za kramem lub w warztacie.

A co tam ludu było, i jaki, nie pytaj. A wszystko śmiało i prędko dążyło do Brackiej ulicy, co to dwiema głowami ku Grodzkiej i ku pałacowi biskupa wygląda. — Za tym tłumem, w bok od kościoła biegł drugi nie tak pstry ubiorem, ale odgłosami hałaśniejszy i dziwniejszy, a spieszył od kościoła Panny Maryi, bokami rynku, koło Sukiennic, na ulicę Świętej Anny. — Na przodzie Zawadzki Stanisław *) rektor, w niebieskiej aksamitnej todze z gronostajami, niby książkę nauki w kraju, poważnie idzie: wyniosła postawa i oko strzeliste pokazują, że to mąż; za nim ks. Jan Dołęga, professor teologii, także jak on ubrany, jeno bez łańcucha złocistego na szyi, szermuje dyalektyką Tomasza z Akwinu z Pawłem z Samborza. — To głowy uniwersytetu przodkują mu i nauką i godnością, i miłością ku dobru światła i kraju, i przodkują tak, że im nikt nie zajrzy owę godności i każdy z młodych co ich słuchali, to kocha jak ojca, a szanuje jak pana.

*) Stanisław Zawadzki nazwany Pícus od wielkiej pamięci, przez lat 20 piastował urząd rektora akademii; jego urzędowanie przypada na r. 1560. (patrz Niesiecki.)

Za niemi, bez porządku, skupiono i gwarnie kroczy młodzież; jest jój na tysiąc, a wszystko dorodni, nie młodzieniaszki ale ludzie, co nauka im nie macocha, co to za czas niedługi rozejdą się, i każdy gdzie mu naznaczono pójdzie wszczepić w kraju, co mu dała matka mężów — akademія. A dziś nie jeden nie pamięta, czém ma być kiedyś, gwarnie tylko rozprawiają między sobą o tém, co dziś widzieli; — a jaka ich rozmowa rozmaita, wiele tam słów a rzeczy, trudno opisać. W niektórych miejscach to o modlitwie — o processyi; wielu takich, co opowiadają świeckie rzeczy — są tacy, co mniej myślą o rzeczach poważnych, ale sobie układają zabawę na jutro — a znów gdzieś cichaczem wymknie się głos przytłumiony, ale ostry i cięty: to echo kłótni Orzechowskiego z Stankarem. Sprzeczki te wszystkim już znane, a po Wielkiej Polsce taboreczki gdzie niegdzie kolonie zakładają — więc i w Krakowie już o tém mówią, a nie jednemu w niesmak idzie scholastyka. Ale głos taki w téj massie młodzieży dość rzadki i echa nie znajdzie; nie psuje ogólnej harmonii młodzieży, wiary ducha, serca, co się przebija w wesołym ruchu, śmiałym chodzie, uśmiechu na twarzy, szczerości na ustach. — Znajdziesz tam wszystko, choć na niejednym czamarka ledwo pasem przy ciele się trzyma.

I cały ten tłum akademików dążył do burs, które naokół obsiadły Stój Anny ulicę i cokolwiek na Wiślaną wyglądają, tam ich rektor odprowadza — i tam wstąpiwszy na chwilę, znów część ich wysunęła się żywo z po za bram, i spieszą po za wały i mury ku Zwierzyńcowi biegnie.

A za tym tłumem młodzieży, za tym kwiatem, co to w purpurę młodej myśli, młodego serca ozdoby, wyszło dwóch ludzi z kościoła, którzy nietylko ubiorem, ale postacią i twarzą pokazują, że należą do ojców.

Każden z nich inaczej ubrany, jak inszy stan jego, w którym krajowi służył; na każdego twarzy inny wyraz, inne rysy, inne zmarszczki, bo u każdego myśl innym sposobem działała; ale na obu twarzach jedna powaga, jeden obraz władzy, bo jedne cele, koło których chodzili.

Jeden z nich w fioletowej sukni, z złotym łańcuchem, co bogatém kołem obwodził szyję i spadał na piersi, szedł naprzód: wysoka jego postać, głowa wyniosła, którą w górę dźwigał, bo ani jój wiek ani praca nie schyliły jeszcze, oczy siwe migocą światłem przenikliwości, nie widać w nich gry gniewu, ani gry rzewnych uczuć — czoło wysokie, zorane, ale zmarszczki te z trudów, widno, że to

ślady, które zostawiła myśl w przechodzie z głowy w czyn — usta małe, cienkie, przycięte — to był Jan Osiecki, biskup i kanclerz krakowski*).

Przy nim człowiek mały wzrostem, szczupły — ciało delikatne zdaje się tak łatwe do skruszenia — ruch jego prędkie i krzepkie, jak ruch młodego żrebca, choć na twarzy nie wiosna tylko zima, bo i włos długi białymi szmaty głowę ubiera, i długa śpiczasta broda zimą siwieje, tylko że oko niebieskie jeszcze ciska błyskawice, kiedy na kim dłużej się zatrzyma lub gniewnie spojrzy. Ba, twarz nawet w dziwnej sprzeczności z siwizną, gładka jak młodzieniaszka, tylko wyschła; zmarszczki na niej nie ujrzysz, ale wyschłe jagody ci powiedzą, że tu życie było życiem obozów, spieki i słońca, słońca gorętszego jak nasze; a w łagodnie ściętych i uśmiechających się ustach obaczysz dworską układność, co nie pozwoli się w pole wywieść; a w wysokim czole wspaniałość i hojność — taka, że wszystkobyś chętnie poświęcił w nadziei nagrody od niego — to był Jan Tarnowski, co go lud nazywał panem krakowskim, wojsko swoim hetmanem, a król jedynym rządcą, co to niższy ciałem od wszystkich, ale wyższy dostojenstwem i duchem. Bogate na nim ubranie, a za nim dwór liczny.

A przy tym pstrym orszaku szedł drugi: na nim barwa biskupów krakowskich, ale skromniejsza od hetmańskiej, nie tak pstro rozmaita, szła cicho, poważnie, parami — czasem tylko słówko półgębkiem się wymknie do ucha towarzysza, ten podobnie odstrzeli lub palcem pokaże — ale to rzadko, to jeno młodzież sobie tego pozwoli, starcy surowo za to karzą.

Pan hetman coś ważnego traktuje z kanclerzem, bo nawet nie prosił do rozmowy ni p. Orzechowskiego, ani p. Pudłowskiego, a ci obaj wzięwszy się za ręce, idą na uboczu i rozprawiają. Ich rozmowa musi być ważna, bo Orzechowski gwałtowniejszy, coraz to ręką uderzy w rękę Pudłowskiego, oczyma błysnie, dowodami siecze. — Z rozmowy pierwszych dolatują wyrazy: król w Knyszynie — edykta; a z drugiej rozmowy: papież — bulle — kanony.

Gdy tak rozmawiając, doszli do ulicy Brackiej, obrócił się biskup do hetmana i rzekł:

— Ażaliż łaskawy mi panie hetmanie, nie zechcecie mnie nawiedzić i uświetnić tę uroczystość miasta swą obecnością?

Tarnowski schylił głowę, na znak, że uczyni za-dosyć woli biskupa, i poszli razem środkiem ulicy

Brackiej, a tłum za nimi niby ogon komety; a lud się im rozstępował na drodze, jak kiedyś woda laską uderzona — coraz odkrywały się głowy na przywitanie dwóch mężów, których każdy znał jak braci, szanował jak ojców, kochał jak dobroczyńców; a oni obaj słali uprzejme ukłony. Każdy się zatrzymywał i z uszanowaniem spoglądał na nich, a jeżeli miał syna, mówił: — to Jan Tarnowski, a to Ocieski — i dziecko nie wiedząc, powtarzało: Tarnowski, Ocieski — jakby przeczuwało, że także w starości powie synom, chlubiąc się: — i ja ich widziałem. — Matki podnoszą dzieci, żeby i one mogły ich ujrzyć, co im się zdaje, że wzrok wielkiego człowieka ma coś z mocy czarownej, a udaruje mocą tego, na którego paść mu się zdarzy.

Tak prowadzeni podziwem ludu i uszanowaniem, przyszedli do pałacu biskupów, którego osowiła postawa otwartymi drzwiami, niby sercem, w gościnę oczekiwała — za nimi tłumy dziedziniec napępniły.

II.

Za murami Zwierzyńca inny obyczaj, inni ludzie; już to nie sztywne mieszczany, ani szlachta wesóło poważna. Tu słysząc skrzype piskliwe tony, buczy Maryna grubemi głosy jak bąk na wiosnę w sitówiu, koło skrzypek rej wodzi Janek, chłopak jak krew z mlekiem, bogaty jak pan, co tyle piosnek umie, żeby ich na byczej skórze nie spisał, podkówkami krzesze, że aż ognia dają, czapki poprawia, aż się serce śmieje, rękę za pas sadza tak udatnie, jak nikt nie umie, a groszem sypnie śmiało i obficie. Każe wynosić miodu swojej tancerce — a ta, wstydząc się, skromnie twarz odwraca, oczy spuszcza, lewą ręką fartuszek koniec miętosi, wypije, splunie i nie odwracając się odda dzbanek sąsiadce, a potem skoczy do tańca rażno, ochotnie, jakby chciała nagrodzić to opóźnienie, i mocniej wywija i śmieliej spogląda, i hasa weseliej skoczego krakowiaka. Za pierwszą parą inne, chłop w chłopcu, płowe włosy, niebieskie oko, postawa siadła, taki rys Krakowiaka, co to jak długi włos z czoła odgarnie, to zda się z oczu, z twarzy, tryska szerość i prostota; przy parobkach dziewczki, w chustkach białych, niebieskich, gorsetach okrywających piersi wydatną, w białych krótkich spodnicach, co pokazują silną nogę. Nie delikatne to dziewice, ale krzepkie i mocne; bo w gminie innych nie szukaj. W gminie, co z pieluch do pracy, a z pracy do trumny, a rzadkie mu wesele, i to grube jak praca, szczere jak ona, nie patrz małej ręki, bo

*) Jan Ocieski, kanclerz króla Zygmunta Augusta zm. 1573.; sławny z swoich wielkich zdolności, piastował pieczęć i biskupstwo po Tomickim.

sierp nie rękawiczka, nie patrz białej twarzy, bo słońce nie pieści.

Starzy siedzą na przyzbach i rozprawiają jako króla jegomości w mieście nie ma, jako pan krakowski jest, jako cudowne nabożeństwo było dzisiaj, jako ksieni*) darowała podatek gospodarzom, i jeszcze więcej; bawią spokojnie, gwarliwie, bez bójk, bez wódki.

Bawił się lud, bo mu było dobrze pod wielkim miastem nim je obcy posiadał.... A wszystko wraz spojrzało ku klasztorowi i niecierpliwie wyglądało ku bramie, przy której czerwona chorągiew powiewa i stoi duży bęben, w który wraz chłopak pałeczką uderzy.

Aż z bramy klasztornej, jakby wypchnięty siłą niewidzialną, wybiegł tłum ludu, samych Zwierzyniaków i leciał drogą ku miastu, którego ceglane mury i baszty okrągłe świeciły zdala niby pas węzowy. Za nimi ostatni z bramy wyszedł człowiek, cudacznie ubrany: zawój na nim niby na Turku, bogaty kaftan czerwony, a od kaftana szerokie osłony tyfetykowe, okrywały coś, mające kształt konia, z przyczepionym łbem końskim skórzanym, z dzwonkami i piórami, i gonik za biegnącym ludem, który pierzchał od niego na wszystkie strony z żartem i śmiechem. A za nim karmazynowa chorągiew Włóczków, jak sztandar zwycięstwa szamocze nad narodem; a koło niej migocą proporceyki, jakby jej dzieci, jakby chorągiewki od dzid żołnierskich, a lud z tyłu, z boków, z przodu radośnie woła: — ho hop, ho hop, konik! konik! uciekaj przed konikiem!

A jeździec coraz ku tłumowi skoczy żywiej, buława po plecach głośno, albo zwolni kroku, w tył się obraca i ludowi grozi, albo wolno harcuje i łeb konika ściaga, i dzwonki odzywają się cienkim głosem. Sam nie mówi tylko poważnie idzie, nie śmieje się, tylko ku ludowi zamierza i goni, i uderzy nawet; ale za to śmieją mu się tylko i wykrzywiają.

Tak harcując dobiega do bramy, mur miejski od ulicy Śgo Floryana przemija, brama otwarta, brona podniesiona wstępu nie czynią, ochotnie przyjmują. Marszałkowskie draby w czerwonych kubrakach, sami się gapią; konik i im wygraża, a te postrachy miasta sami do niego się śmieją i wydrzeźniają aż w Floriańską ulicę. Tu do wiejskiego ludu łączy się sztywna figura czarno ubrana,

*) Wieś Zwierzyniec należała do klasztoru panien Norbertanek w niej leżącego.

w długiej opończy z kryzą mieszczanina i łosiowy kaftan i żelazna przyłbica żołnierza.

Konik ciągle harcuje, goni, uderza, ale mieszczan, tych on szanuje, nie szlachtę, tej on się boi, ale na ich i swoją zabawę goni chłopaków, którzy wydrzeźniając się: uciekają i miny mu stroją. I tak dobiegli rynku.

Na nim nawał ludu, bo akademia przyszła także korzystać z powszechnej zabawy. — Konik — wołają — górą konik! wivat konik — i połączyli się z ludem. A rynek krakowski, przedtem pusty i cichy, znów stał się pełny i głośny; nie był to głos modlitwy ani nabożeństwa, ale wrzask wesołości i zabawy. A wszystko skacze, raduje się, goni kto wprzód przed pałac zaleci; konik za nimi. Krzyk, wesołość, wrzawa. I tak przebiegli rynek, wpadli na granicę Wiślaną. Tak ścisł większy, tam mniej dla konika miejsca, tu jak szczupak w sadzu wywijać się nie może, tylko wołaniem wesele swe wydaje.

Przed pałacem biskupów konik nie bije nikogo, boć tam wszystko poważne mieszczany, kupcy bogate, majstry zamożne, więc konik poważnie idzie tu i tam kłania się buławą — temu niżej, temu wyżej, jak do godności i znaczenia. Aż znalazł się na wprost otwartej bramy pałacu biskupa, zatrzymał się chwilę; a potem prędko, niby w pełnym galopie wbiegł na dziedziniec.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dziewica z Dom-Remy.

przez Karola Libelta.

(Ciąg dalszy.)

Mylą się, którzy „Naśladowanie Chrystusa“ o mistycyzm posadzają jaki się rzeczywiście w XIII. i w XIV. wieku pokazywał. Najmniejszego tam nawet niema śladu mistyczności. Niema żadnych widzeń ani objawień nadprzyrodzonych; niema tej bezpośredniości Boga do człowieka, jaka się w ludzkich stosunkach, a zatem w znizeniu Bóstwa do człowieczeństwa objawia; jest raczej bezpośredniość samej miłości, sama kontemplacja ducha w duchu przez miłość. Był jeszcze inny rodzaj mistycyzmu, pochodzący z zupełnej negacji siebie, z rozplynienia się duszy w Bogu. W takiej jedności duszy z Bogiem nie ma już miłości. Jest to pewien rodzaj panteizmu, jedności

bezwzględnej ducha, której szukano i do której dochodzono po szczytach miłości. Ale w tém utonięciu utonęła i miłość, która z natury swojej jest dwójką, nie jednostką. Miłować może się tylko dwójgo. Autor „Naśladowania“ pojął miłość w jej prawdziwem znaczeniu. W miłości duszy do Boga nigdy dusza nieprzestaje być sobą, czuje się jednostką osobną, czuje się pod brzemieniem stosunków, wiążących go ze światem, a z których uwolnić się usiłuje przez miłość do Boga. Jej uszczęśliwienie w Bogu na tém właśnie polega, że w nim miłuje stwórcę i dobroczyńcę swego, że czując się w Bogu, czuje oraz siebie.

Książka taka wśród upadku kościoła powszechnego i narodowego musiała wywrzeć na ludzi wpływ nieskończenie błogi i ożywić w nich ducha do nowego życia; musiała ich zagrzać nową, potężną wiarą i usposobić do czynu, mającego się siłą tej wiary dokonać. Tym sposobem rozpowszechnienie po całym kraju książki „Pocieszenie duszy,“ w ojczyściej języku napisanej zostaje w ścisłym związku z pojawieniem się dziewicy Orleańskiej. Tam była teorya, tu praktyka miłości; tam Bóg błagany i pojęty w sferze pozaświatowego ducha; tu prześlągany, zstępujący czynem i jawem wśród uciśnionego narodu i niosący mu pomoc przez dziewicę; — tam była ofiara męczeństwa, tu odkupienie tą ofiarą dokonane. Zgoła książka pomieniona była głosem wołającym na puszczy — a puszcza ducha była Francya owoczesna — i prostowała ścieżki przyjsie mającej wybawicielce Francyi.

Kobiety szczególnie, w swobodzie płocze i lekkie, miewają więcej wytrwałości i męstwa w nieszczęściu. Nie obliczając, ale czując głęboko, wierzeni pozostają obowiązkom, z tego uczucia płynącym, czy to w domowych czy w krajowych kłeskach. Nie znajdziesz między niemi, tak jak między mężczyznami, zdrajców kraju, obmierzłych wyrodków ojczyzny. Kobiety też i w onym czasie nędzy i ucisku, kiedy mężowie, czy to z słabości, czy z polityki uginali karki pod jarzmo angielskie, nie przestały być Francuskami, nosiły w sercu wstręt dla nieprzyjaciela kraju, a okazywały czynny udział tam, gdzie krajowi nowe kłeski i nowe nieszczęścia zagrażały. Znał te patryotyczne uczucia współrodaczek swoich Daguesclin, bo gdy szło o wykup jego z niewoli angielskiej, powiedział księciu Edwardowi Czarnemu: „że nie ma prządki we Francyi, któraby na jego wykup choć jednego parnika nie uprzedła.“ Na gruncie uczuć ludowych złożona była wiedza tego rzetelnego przywiązania kobiet do kraju

i do swoich, i w miarę, jak wiara w siły męskie, jako zwyczajne środki ludzkie ku niesieniu pomocy zniknęła, nabierało owo kobiece uczucie znaczenia i stawało się talizmanem, potęgą nieba wspartym, na zastąpienie i obronę Francyi. Dla tego to, gdy zwątpiono o ratunku i wyczekiwano pomocy z nieba, wyglądano kobiety — dziewicy — która tę pomoc przynieść miała.

Równocześnie z pojawieniem się Joanny w Dom Remy głośnie były między ludem imiona innych jeszcze kobiet natchnionych i świątobliwych: Petroneli z Bretanii, Maryi z Awinionu, Katarzyny z la Rochelle, o których mówiono, że miewają widzenia niebieskie, że rozmawiają z Chrystusem i z Świętymi Pańskimi, że są obdarzone nadprzyrodzonymi siłami ducha. Wedle zeznań późniejszych świadków Joanna także wiedziała o prorocztwie, które chodziło między ludem, że przez kobietę przyjdą kłeski na Francya i że przez kobietę stanie się jej wybawienie. Być bardzo może, że i ta przepowiednia wpłynęła na jej umysł i gdy w pierwszej niewieście uważano powszechnie Izabellę królową, w duchu może siebie samą uważała za drugą. Doktor Jan Erault podaje, że stawiono raz przed króla kobietę z Awinionu, która się zwała Marya, i nabyła wziętości przez świątobliwy i kontemplacyjny żywot. Miała mu opowiedzieć widzenia swoje, przepowiadając z nich wielkie nieszczęścia kraju, oraz przyjsie dziewicy, która przyniesie ratunek. Prorocztwo z książki jakiegoś Merlina, że przyjdzie dziewica, która ocali królestwo, krążyło prawie wszędzie, a w Lotaryngii, może z powodu zaślubin Maryi Lotaryngskiej z Reneuszem Anjou nabrało kolorytu miejscowego i oznaczono ową dziewicę bliżej przez to, że miała przyjsie z marchii Lotaryngskiej od Białego lasu. Las tego nazwiska znajdował się rzeczywiście w okolicy wioski Dom-Remy.

Wioska, w której się urodziła Joanna, położona między miastami Neufchateau i Vaucouleurs zwała się wedle nadania z r. 1090. Dom-Remy-la-Pucelle i leżała u spodu gór Wogeskich, gdzie się zaczynały niziny Lotaryngskie i może dla tego zwano ją Dziewicą (Pucelle). Na początku XIV. wieku wieś ta była dziedzictwem panów na Joinville i Vaucouleurs. Roku 1335. Vaucouleurs z przyległościami, między którymi była wieś Dom-Remy, zostało królewską. W owym wojennym czasie bezpośredni poddani królewscy drogo ten zaszczyt okupywali. Nikt się nimi nieopiekował, a swój i obcy uciskał. Zwykle rolnik zapracował a żołnierz sprzątał. Ile razy wojsko nieprzyjacielskie przez królewską przechodziło, zo-

stawiało pustki po sobie, tylko niebo i ziemię. Mieszkaniec uchodził w lasy, a niekiedy zastawiał sobą swoje mienie i honor swoich kobiet. Dla tego lud w królewskich włościach był przezorny i odważny, nadstawiał pilnie ucha, aby się dowiedzieć, co się dzieje w świecie, jaki obrót bierze wojna, jak stoją sprawy króla; był to lud z potrzeby polityczny i mieszący się z udziałem do spraw politycznych. Zacięta walka stronnictw aż do ostatnich warsztw społecznych rozdzieliła umysły. Tuż przy Dom-Remy leżała druga wioska, która trzymała z Burgundami i nieraz wieczorem chłopcy tych dwóch włości nieprzyjanych sobie, odbywali krwawe harce. Joanna opowiadała później że nie raz widziała poranionych, wracających do wsi, po takich wyprawach. Wszakże boje pod hasłem dwóch stronnictw stawających, były tylko naśladowaniem rzeczywistych bitew, których ta okolica była teatrem.

Wioska Dom-Remy, blisko głównego traktu z Szampanii do Lotaryngii i do Niemiec, na samém rozstaju dwóch stronnictw — na wschodnim styku południowej i północnej Francji, była najwięcej zbliżona do teatru wojny i wystawiona na wszystkie jej pożogi, które zostawiały niezatarte ślady pamiętek i wzruszeń w umysłach mieszkańców. Wojna! — to wyraz pełen obrazów równie okropnych jak wielkich. Jest to burza społeczna, równie straszliwa, jak burza morska. A poetyczna dusza zawiesza się na wysokości okrętowego masztu i chłonie ciekawem okiem, namiętnym słuchem i piersią wzdętą, tę olbrzymią walkę rozpasanych żywiołów, i jak Bóg potężny niełeka się ich, ale panuje nad niemi. Podobne wrażenia czynią na umyśle obrazy wojny, byle umysł był do natchnień sposobnym; nikną wtedy niebezpieczeństwa, widok krwi i śmierci niestrasza, wyższa myśl, wyższe uczucie ściele promienną drogę sławy po trupach i zgłiszczach, i człowiek, jak drugi Bóg niełeka się śmierci, ale panuje nad śmiercią.

Do takiej siły natchnienia urosło z czasem poetyczne uczucie Joanny urodzonej i wzrosłej wśród wojennych czasów. Chociaż nie co dzień były przechody wojsk, nie co dzień bitwy i rabunki; było przecież ciągle niebezpieczeństwo, ciągle wytężenie i napięcie umysłów. Wieści o wojnie zastępowały wojnę samą. Nocą zrywał się mieszkaniec na rozgłos dzwonu na trwogę bijącego i widział szeroką złowróżbą łunę: krwawe orędzie na niebie o pobliżu wroga. Niebawem przybywali w popłochu pogorzelcy, unosząc życie i dzieci, i co można było uratować przed nieprzyjacielem z dobytku i błagali o litość. I Joanna podobnych zbiegów przyjmowała w dom rodzicielski; dzie-

liła z nimi strawę, ustępowała im łoża swego, a ciekawie słuchała ich opowiadań, o królu, o Anglikach, o Burgundach, a co słyszała, głęboko u siebie zachowywała w sercu. Nie zadługo trzeba było i jej samęj z rodzicami uchodzić w pobliskie lasy przed bandą żołnierstwa, zbliżającego do Dom-Remy, a gdy niebezpieczeństwo minęło i wrócono znowu do siola, był dom i kościół spalony i cała wieś zrabowana.

Poznała więc dość wcześnie, co to wojna. Własnymi oczami patrzyła się na jej spustoszenia; wychowana w bogobojności widziała w niej panowanie czarta i obróciła serce i umysł do Boga, ażali niepołoży końca cierpieniom ludzkim i niewytrąci berła z rąk szatana. Skłonna do marzeń, marzyła wciąż o wojnie, o Francji, o królu; bolała i płakała nad losem kraju i ludu; w postach i w gorącym nabożeństwie szukała pomocy u Boga i w takim religijném napięciu umysłu i wytężeniu wszystkich sił duszy do jednego celu, do jednej myśli: — ocalenia kraju, przez bezpośredni wpływ Boga — mogła dojść aż do ekstazy widzeń niebieskich i usłyszenia głosu z nieba, dającego jej wielkie postanowienie.

W ponurych okolicach Wągezów mnóstwo między ludem chodziło powieści o duchach, mieszkających tych czarnych gór i lasów. Siegały one jeszcze przedchrześcijańskich czasów i uwieczniały się w pamięci ludu pieśniami, a nawet obchodami. Tuż po nade wsią i kościołem szumił stary las dębowy, ulubione miejsce tych nadobnych postaci dziwnego świata; lud je tam słyszał może w poszmerze liści, lud je tam widywał ponad strugą czystej krynicy, może w szmatach mgły wieczornej i wierzył mocną wiarą, że się niektórym ludziom te duchy pokazują i objawiają. Na zrębie lasu stało stare drzewo bukowe zwane drzewem niebianek, albo drzewem majowym. Co wiosnę w niedzielę, w której kościół śpiewa: „laetare Jerusalem“, było święto uroczyste całej włości. Pan z całym dworem i wieś cała odbywali tu święto majowe; dzieci śpiewały pieśni i zawodziły w okół drzewa tańce, a wieńce z kwiatów ponad bliską krynicą uszczknionych, zawieszały na jego gałęziach. Pan dawał poczęsne z wina i chleba, i pieczono na ten dzień osobny rodzaj kukiałek. Była i to zapewne uroczystość z czasów jeszcze pogańskich, ile, że z owej krynicy lud czerpał wodę i przywiązywał do niej cudowną moc leczenia chorób. W pobliżu tego źródła była wybudowana kaplica, zwana kościołkiem Matki Boskiej Bermonckiej. Zwaliska jej dziś jeszcze widać. Tam w owo święto majowe odbywała się raz do roku msza święta, w myśli oczyszczenia tego miejsca z bo-

zyszez zaklętych i przeklętych, ale właśnie ta uroczystość podniecała tém więcej imaginacyą ludu i utwierdzała tradycyjną wiarę jego. Edmund Richer, który w dwieście lat później życie Joanny opisał, widział jeszcze i tę kaplicę i to drzewo bukowe, i ten obchód święta majowego.

Joanna wzrosła wśród tych obyczajów i téj wiary ludu. Ulubioném jęj ustroniem były owe uroczyska pobliskiego lasu. Cudny ztąd rozścielał się widok na rozległą dolinę Mozeli, co jasną taśmą wila się wśród zieleni łąk, i tu i owdzie bielejących się włości i zamków. Czarne i pospępne dęby obsiadły góry przyległe, świadki ubiegłych wieków spozierały z okola w dolinę, niby poważne starce, poglądający na młodość kwitnącą, co nie zaznała jeszcze ani burzy zimy, ani zmiany czasów. Joanna co tydzień odbywała pielgrzymkę do kaplicy, przynosiła świece na ofiarę i na długich modłach nie raz tam czas trawiła. Powieści przywiązane do tych miejsc uroczych, musiały zajmować jęj duszę marzącą. Mieszały się do tego zapewne wyobrażenia z pisma świętego o wybranym narodzie, którego prorokom Bóg tylekroć się objawiał, legendy o świętych niewiastach, które miewały widzenia. Mogła więc pod wpływem tylu obrazów przejść łatwo z marzeń do widzeń; z dumań wewnętrznych do postaci zewnętrznych. Poezya na najwyższym szczycie jest twórczością. Żywa wyobraźnia dziewczicy sięgła tego szczytu, urzeczywiszczając przed sobą głębokie pragnienie duszy, by niebo zesłało cudowną pomoc krajowi, w wyteżeniu wiary widziała na oczy postacie opiekuńczych duchów i słyszała ten głos zewnątrz siebie — z nieba, który brzmiał w głębi jęj własnego ducha — w niebie jęj dziewiczego, gwałtownego uczucia.

Są to naturalne drogi natchnienia, które się ima takiego materiału, jaki znajduje i upostacia go wedle wyobrażeń danych i znalezionych. Gdybyśmy znali wszystkie i najdrobniejsze szczegóły życia Joanny, gdybyśmy przed sobą mieć mogli wszystkie włókna jęj umysłu, te żywe kolory tego wszystkiego, co kiedy widziała, słyszała, pojęła i w pokarm ducha swojego obróciła — przekonalibyśmy się, że widzenia jęj z tych włókien i z tych kolorów uprzedły się, czyli, że duchowe wrażenia w duchową rzeczywistość się przekształciły. Cudowność przestaje zatem być cudowną. Nie jej kształty są cudownymi, ale cudowném jest samo natchnienie twórcze, źródło tych kształtów. Natchnienie bowiem zstępuje z nieba i jest natury boskiej bezpośrednim związkiem Boga z człowiekiem; gwiazdą świetelną

jasności niebieskiej, zatloną w ciemniach ducha człowieka, i o tém świetle i o potędze żywotności tego światła, rozbłyskują wielkie myśli, rozgrzewają wielkie słowa i wielkie dzieła z niczego, bo z ducha powstają, zdumionemu i maluczkemu światu na podziw. Cudem istotnym jest samo natchnienie, a ludzie mali na umyśle dzieła tego natchnienia wzięli za cuda. Twór już ich zdziwiał, jakże mieli pojąć twórcę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

— Sławny amerykański historyk Prescott wydał nowe, godne uwagi dzieło: — Dzieje zdobycia Peru i o cywilizacji Inkassów. — Czytamy w tém dziele, że kraj cały pod Inkassami był szczęśliwy i znajdował się w takim położeniu, jakiegoby sobie u nas nikt nie życzył, dla zapobieżenia nędzy. Cały kraj był na trzy części podzielony, jedna część należała do słońca, druga do Inka, a trzecia do ludu. Ziemie należące do słońca, dostarczały na utrzymanie świątyni, licznego duchowieństwa i kosztownych uroczystości zaprowadzonych w religii peruańskiej. Z dochodów ziemi należących do Inka, opędzano wydatki na dwór królewski, utrzymanie licznych krewnych i służby królewskiej i potrzeb rządu. Reszta rozdzieloną była w różnych częściach pomiędzy lud. Każdy Peruańczyk w pewnym wieku musiał się ożenić. — Skoro to nastąpiło, gmina do której należał dawała mu dom prosty, nie kosztowny, część ziemi i wyznaczono dochód jego żonie. Dodatek odbierał następnie na każde dziecko, na chłopca dwa razy więcej niż na dziewczę. Podział gruntów co rok odnawiano i posiadłości zmniejszano lub powiększano według wzrostu lub ubytku w rodzinie. Szlachta, bo i ta była w Peru, otrzymała nieco większe części, ażeby żyć mogła z większą okazałością.

— Umiejętność poczyną wierzyć, że mężowie, którzy dawnymi czasy starali się odkryć tajemnicę rozbienia złota i elixiru życia, nie tak byli głupimi jak dotąd mniemano. W Annales de sciences numerze 100 znajduje się zamieszczony artykuł, w którym powiedziano, że dziewiętnasty wiek nie upłynie, a tajemnica ta odkrytą zostanie. Chemicy nie wątpią teraz wcale o jednej wspólnej zasadzie metalów, i że znajdując się w stanie płynnym, przez wpływ elektryczności, siarki i innych może zmiana taka nastąpić. Prawda, że trudno dociec tajemnicy natury i czło-

wiek odkrywa jedną po drugiej z mozołem, ale tyle już docieczono, że mamy obraz tworzenia się metalów. Złoto także od dawnego czasu uważano jako jeden z najsilniejszych środków lekarskich przeciw sześciutysięcom ośmset sześćdziesiąti i trzem chorobom, które wyliczają lekarze, a w owym dzienniku chemii poświęconym wyraźnie powiedziano, że złoto posiada najsilniejsze własności do wzmożenia zdrowia i przedłużenia życia, i zdaje się być prawdą, co opowiadają o wtajemniczonych w sztukę leczenia za pomocą płynnego złota, jakich dokazywali cudów w swoim czasie. Do widoku tak słodkiego dodają, że wiara utrzymuje się w całym świecie o środku, który utrzymać może siłę młodzieńca, i przedłużyć życie, należy ona do mitologii Braminów równie jak do powieści chińskich. Towarzysze Krzysztofa Kolumba znaleźli tę wiarę na ziemi amerykańskiej wśród krajowców, a nawet jeden z najdzielniejszych umysłów Descartes, wierzył, że w sposób sztuczny można życie przedłużyć.

MODY.

Paryż, dnia 4. Lipca 1847.

Nietylko nie zapomniano w tém lecie o małych czepeczkach, ale jeszcze bardziej podobają się niż w latach ubiegłych. Stroją je w kwiaty i wstążki, wsadzają je na tył głowy i grubo je z boku garnirują. Wiele też robią ich z tulu iluzyjnego ze wstążkami gazowymi, z koronek z małą wstążką aksamitną.

Wiele dam nosi we wszystkich porach roku tkaniny czarne, niewiadomo, czy z zalotności, czy z innych powodów, dla tego też chętnie czarne barze noszą podczas lata, za którymi się ubiegają. Ażeby nie tak smutno wyglądał, pięknie go garnirują. Także wiele znachodzimy sukien z czarnego tulu, o dwóch powłokach i prostym szerokim brzegiem, lub jednej powłoce z szerokimi falbanami; takie suknie szczególnie podobają się na wsi, bo w nich o każdym czasie przyjmować można gości. Szlafroczyki otwarte z czarnego tulu także widzieliśmy, mają obszerne rękawy, utrzymywane pięknymi naramiennicami. Stanik u nich był bluzowy, u szyi ściągany na wiązadło, przez które przechodziła wstążka różowa. Szlafroczyki z czarnej kitajki wiążą w kutasy lub sznury szklane, które aż za stanik zachodzą, a po nim się rozmaicie wiją, tak,

iż cały niemi jest okryty. Do nich noszą krótkie rękawy, z którymi się łączą czarne koronki. Na wyciętych stanikach noszą także peleryny, z przodu spięte guzikami szklanymi lub kokardkami trzema z wstążek o długich końcach.

Rękawy u sukien jedwabnych zawsze są jeszcze obcisłe. U lekkich sukien noszą je przeciwnie obszerne i ściągane na wiązadło, które się znajduje w środku na przodzie rękawa, a dwie lub trzy bufki z pod niego spływają jako podrękawki. Wiele też noszą krótkich rękawów z długimi rękawiczkami bez palcy.

Bardzo się podobają szlafroczyki z podszytego muslinu. Widzimy je z stanikami wysoko zachodzącymi, ściąganiem we fałdy na ramionach, a pas szeroki o długich końcach ściągają kibić. Wiele z nich garnirują paskami koronkowymi, które rozdzielają bufkowem oszyciem, przez które przeciągają wstążkę w kolorze podszewki.

Szlafroczyki z białej kitajki także noszą i wyglądają uroczym dla swjej prostoty, z przodu zapinają się na guziki pasamonowe białe.

Opończe przez nas widziane w 14 dniach ostatnich były nader rozmaite, według powietrza. — W dzień podczas upału widzieliśmy te same damy w szale koronkowe ubrane, które podczas zimnego wieczora tuliły się pod wiatowane płaszczyki. Więcej zresztą widzimy opończ, niż długich szali.

Dla mężczyzn. Mężczyźni noszą lekkie ubiory z niebielonego batystu, nankinu lub białego dreliszku. Wielu elegantów chodzi w krótkich surdutach nankinowych lub dreliszkowych. Z przodu są one zaokrąglone. Pantalony u dołu obszerne. Kamizelki mogą być białe lub kolorowe. Podeszli wiekiem mężczyźni noszą twiny z lekkich materii. Są obszerne. Fraki mają krótkie poły, są obszerne i wygodne. Stan u surdutów nie jest tak długi jak dawniej.

Objaśnienie ryciny.

1. Spencer. Kolorowy krawat. Kamizelka pikowa. Pantalony nankinowe bez podpinek.
2. Czepek w nowej formie. Chusteczka z haftowanego muslinu. Suknia kitajkowa, sznureczkami orzucona.
3. Kapelusze jedwabny. Mantylla jedwabna, orzucona w bufkowane oszycie. Suknia z lnianej tkaniny.